

MANIA EPISTOLARNA

Ponieważ szczęśliwym trafem nie musiałem nigdy w życiu wykonywać żadnego zawodu i nawet książki, nad którymi pracowałem, nie uchodziły za poważne – przez wiele, wiele lat miałem mnóstwo czasu. Jest to w zasadzie przywilej żebraków i kobiet. Zresztą żebraków jest coraz więcej, poza tym nie chce im się trudzić pisaniem; co do kobiet współczesnych, to idą one do pracy, zwłaszcza w biurach, tych ogłupiających piekłach. Toteż listopisanie jest obecnie zagrożone, jako że w tej dziedzinie brylowały właśnie kobiety. Pani Du Deffand – jeśli nie największej, to z pewnością *najgłębszej* epistolografki – nie sposób sobie dziś wyobrazić. Niewidoma, nękana bezsennością, do późna w noc dyktowała sekretarzowi listy, których głównymi adresatami byli Wolter i Walpole. Nikt nigdy nie uchwycił głębiej niż ona istoty nudy – owego najbardziej chyba niszczącego doświadczenia, przywileju bodaj tylko tych, którzy mają do dyspozycji *cały* czas. Doświadczać nudy to przeżywać torturę o wiele dotkliwszą niż cierpienie, nawet w najgłębszym lochu; nudzić się to rejestrować nicość każdej chwili, mając pewność, że następna będzie jeszcze bardziej pusta.

List, czyli rozmowa z nieobecnym, to kwintesencja samotności. Prawdy o autorze należy szukać raczej w jego korespondencji niż w dziełach. Te najczęściej bywają maską. W swoich książkach Nietzsche gra jakąś rolę, przybiera pozę sędziego bądź proroka, atakuje swych przyjaciół bądź wrogów i dumnie sytuuje się w centrum przyszłości. Za to w listach *skarży się*, jest nieszczęśliwy, opuszczony, chory, rozgoryczony – dokładne przeciwieństwo tego, co wyziera z jego bezlitosnych werdyktów i złorzeczeń. Sam jest tu prawdziwym podsumowaniem własnych diatryb.

Czytanie powieści Flauberta jest już ponad moje siły, za to jego listy są dla mnie ciągle żywe. Niestety – jakież to tragiczny wyjątek! – nie mogę tego samego powiedzieć o listach Prousta, w najwyższym stopniu irytujących, nieznośnie naszpikowanych komplementami, pisanych przez światowca usiłującego za wszelką cenę ukryć własne życie. Nigdy nie ciągnęło mnie do ponownej ich lektury, podczas gdy ostatnie dwa tomy cyklu *W poszukiwaniu straconego czasu – Czas odnaleziony*, najsubtelniejszy i najbardziej niepokojący opis upokarzającego doświadczenia początków starości – czytywałem wielokrotnie, w kółko, z zachłannością niemal gorączkową.

Ale zostawmy wielkie przykłady. W tej dziedzinie niedyskrecja jest regułą, a ponieważ każdy ma własne doświadczenia, to ma też pełne prawo mówić o sobie, nie narażając się na grzech pychy. Mając, jak już powiedziałem, szczęście być leniwcem, napisałem w życiu bardzo dużo listów. Większość zaginęła, zwłaszcza te z lat młodości. Jeśli mi ich żal, to nie dlatego, bym mógł im przypisać jakąkolwiek obiektywną wartość, lecz ponieważ tylko dzięki nim mogłbym odnaleźć się znów takim, jakim byłem, przyjeżdżając do Francji w wieku 26 lat. Byłby to jedyny środek umożliwiający mi rekonstrukcję owej osoby. Skoro nim nie dysponuję, mój jej wizerunek jest tylko abstrakcją. Mieszkałem w pewnym prowincjonalnym mieście, skąd mojej bukareszteńskiej przyjaciółce, aktorce i... pasjonatce metafizyki, słałem sążniste epistoły o mojej sytuacji nieobłąkanego szaleńca – sytuacji typowej dla kogoś zdemolowanego bezsennością. Otóż kilka lat temu oznajmiła mi ona, że, w przystępie trwogi raczej nie metafizycznej, wszystkie moje listowne elukubracje wrzuciła w ogień. W ten sposób miało zniknąć jedyne fundamentalne świadectwo o moich latach w piekle. Pięć książek, które napisałem po rumuńsku w owych latach, odczuwam obecnie jako mniej lub bardziej mi obce, a jednocześnie jako żywe i zarazem nieczytelne. W gruncie rzeczy książki to przypadki, listy zaś – to wydarzenia; stąd ich suwerenność.

Listy przez nas otrzymywane są o wiele ważniejsze od tych, które sami piszemy. W 1949 r., w którym wydałem pierwszą swoją książkę napisaną po francusku – *Zarys rozkładu* – dotarł do

mej hotelowej mansardy w Dzielnicy Łacińskiej list od jakiejś nieznajomej, pełen delirycznej wręcz egzaltacji, po którego przeczytaniu wrzasnąłem: „No, teraz po tym, coś przeczytał, twoja dalsza pisanina nie ma już sensu. Koniec z twoją karierą”. Poczulem, że to jakieś apogeum, a jednocześnie kres. Rozgorączkowany, z sercem walącym jak młot wypadłem na ulicę, nie mogąc już dłużej tkwić w czterech ścianach. Oto raptem moja egzystencja wiecznego studenta nabrała sensu. Autorka listu, jakaś młoda kobieta z prowincji, z którą później miałem się spotkać jeden jedyny raz, przy tej okazji uraczyła mnie masą niesłychanych zupełnie szczegółów z własnego życia, absolutnie nienadających się do upubliczniania.

Wymiana listów daje leniwcowi złudzenie aktywności. Nic bardziej nie schlebia jego próżności niż to, że co dnia idzie na pocztę z nowym listem. Przez długi czas prowadziłem *bezprzedmiotową* korespondencję z najrozmaitszymi pomyłkami. Szczególnie ekscytująca jest korespondencja z kobietami – niezrównoważonymi, ale nie tylko – bo nigdy nie wiadomo, do czego doprowadzi. Przez ponad rok otrzymywałem od jakiejś pani listy pełne chwaleb – tak wybujałych, że czytając je, wprost bladłem ze wstydu. Nie znałem jej ani wcale nie miałem ochoty jej poznać. Jednak pewnego popołudnia, w nagłym przystępie totalnej odrazy do świata, poczułem potrzebę przyjemnych i krzepiących kłamstw zdolnych mnie wyrwać z podstępnych i sugestywnych siodeł samopogardy. Zadzwoiłem więc do wzmiankowanej wyżej pani. Pierwsze zaskoczenie: jej głos – aksamitny, urzekający. Powiedziałem jej, że chwilką rozmowy z nią sprawiłaby mi wielką przyjemność. Już po godzinie stanęła w moim progu. Na jej widok wybuchnąłem śmiechem, ale ten mój śmiech najwidoczniej wcale jej nie zażenował. Była stara, malutka, pokurczona, niemal karlica, ubrana dziwnie i – szczyt wszystkiego – w czarnych okularach. Zaprosiłem ją do środka, a ona zaczęła mówić. Przez bite *cztery* godziny, cały czas stojąc, opowiadała mi o swoim życiu, energicznie gestykulując i nie szczędząc szokujących detali (nie pominęła niczego, nawet swej nocy poślubnej); z nadzwyczajnym wprost talentem i językiem już to brutalnym, już to wyrafinowanym mówiła tak,

że z rozczulenia wpadałem w konsternację, po czym ogarniał mnie niesmak, a w końcu – poczucie jakiegoś współnictwa. Jaka to szkoda, że tylko mnie jednemu dane jest rozkoszować się paradą wszystkich tych śmiesznych i przerażających nicostek! – potarzałem sobie w głębi duszy. Zbyteczne dodawać, że przez cały wieczór nawet nie otworzyłem ust. Czemu zawdzięczałem okazję do uczestniczenia w tym niezwykłym spektaklu? Otóż mojej chorobliwej ciekawości ludzi, mojej manii pisania listów oraz odpowiadania na nie. Teraz nie mogę już na nią liczyć; opuściła mnie, lecz jej nieobecność uświadomiła mi – o wiele wyraźniej niż wszelkie inne symptomy – że od tego czasu będę musiał się zadowalać wstydliwą rolą niedobitka.

E. M. Cioran

Paryż, 1984

(„Nouvelle Revue Française”, nr 489, październik 1993)

I
DO RODZICÓW¹
(listy 1–38)

1

Berlin [bez daty]

Kochani rodzice²,

Ostatni wasz list był dla mnie niesłuchanym zaskoczeniem. To, że Rita³ stał się wierzący – to bardzo dobrze; ale że zamierza studiować teologię – nie, tak być nie może. A oto dlaczego: kryzys, jaki on przechodzi, przechodzi każdy, kto traktuje ten problem serio. Ale on się myli, jeśli sądzi, że to nie jest przejściowe. Ktoś, kto aż do 20. roku życia nie miał wiary ani za grosz, myli się, uważając, że

¹ Wszystkie listy do rodziców zostały napisane po rumuńsku. Ojciec pisarza Emilian Cioran (1884–1957), był początkowo kapłanem w Râșinari [gdzie urodził się Emil Cioran], później (od 1924 r.) protopopem Sybina, a następnie radcą metropolitalnym. Elvira, matka pisarza (z domu Comanicu), urodziła się w 1888 r., zmarła w 1966. Szczegóły dotyczące dzieciństwa, rodziny, dorostania, lat nauki itd. Ciorana w: „Secolul 20”, nr 328–330 (1990), zwłaszcza w tekstach Gabriela Liiceanu; zob. też Gabriel Liiceanu, *Itinéraires d'une vie: E. M. Cioran, suivi de „les continents de l'insomnie”*, Éditions Michalon, Paris 1995. [Zob. też fragmenty tego tekstu w przekładzie polskim, w: E. Cioran, *Rozmowy*, przeł. I. Kania, Wydawnictwo Aletheia, Warszawa 2014, s. 203–211 (tu w nawiasach kwadratowych dopiski tłumacza, w kilku miejscach także w tekście głównym)].

² Tekst niedatowany, można go jednak datować na 1935 r., gdy Cioran przebywał na studiach w Niemczech (zob. list 41).

³ Rita (albo Ri, albo Relu) – brat pisarza Aurel Cioran (1914–1997), absolwent Wydziału Prawa w Bukareszcie. Przez dziesięć lat wykonywał zawód adwokata, dwa lata walczył na froncie w oddziale strzelców górskich. Nistor Chioreanu (*Morminte vii*, Editura Institutului European, Iași 1992) zalicza go do ważniejszych osobistości organizacji legionowej w Sybinie, takich jak Liviu Stan, Spiridon Cindea, Axente Creangă, Pimen Constantinescu, Iulian Dumitru, Nicolae Petrașcu. Zob. również posłowie Aurela Ciorana do książki szwagra N. Petrașcu, Dumitru Banei (brata Iona Banei, byłego szefa legionistów w Transylwanii) *Acuzat, martor; apărător în procesul vieții mele*, Editura Puncte Cardinale, Sibiu 1995. Aurel Cioran odbył karę siedmioletniego więzienia w Aiud (1949–1956), potem jeszcze ośmiu lat pracy przymusowej. Zob. wywiad opublikowany w dodatku „Litere, arte, idei” do gazety „Cotidianul”, 23.10.1995.

gdy już się nawrócił, jego wiara będzie trwała w nieskończoność. Otóż jeśli Rita zacznie teraz studiować teologię, to jestem absolutnie pewien, że w chwili jej ukończenia straci wiarę. Ulega okropnemu złudzeniu, sądząc, że teologia na coś mu się przyda. Kapłaństwo? Nie nadaje się do tego i nie będzie tego lubił. Profesor teologii? Nie zdoła nim zostać, a jeśli zdoła, to się tym znudzi.

Bywają chwile, gdy każdy ma ochotę czmychnąć do klasztoru. Jeśli podejmie decyzję od razu, natychmiast po wstąpieniu do klasztoru zacznie jej żałować. Rita zapomina, że teologia to także zawód jak każdy inny – zawód, a nie misja. Rita, jeszcze raz to mówię, nie będzie studiował teologii. W niespełna rok zbrzydłaby mu na śmierć. Wierzyć w Boga to jedno, uprawiać teologię to coś innego.

Jestem zdania, że absolutnie powinien ukończyć prawo, bo jeśli porzuci prawo dla teologii, to nie ukończy ani jednego, ani drugiego. Napiszcie mu, że powinien zrobić dyplom z prawa, a potem niech studiuje sobie teologię; do tego czasu zapomni o swoim kryzysie religijnym. Każdy wierzy w Boga, tak jakby sam odkrył go po raz pierwszy. Z czasem zaczyna żałować tego, co z desperacji zrobił w chwili kryzysu.

Ritę znam bardzo dobrze: to sceptyk z usposobienia, refleksyjny i przenikliwy. W zetknięciu z religią ludzie tego typu natychmiast wszystko absolutyzują, ale wnet przychodzą do opamiętania. Gdybym był przekonany o trwałości religijnego przełomu u Relu, uważałbym, że może studiować teologię. Ale nawet gdyby tak było, to gdzie jest napisane, że ktoś przekonany o prawdach religii musi studiować teologię? Co by to było, gdyby każdy wierzący w Boga zaczął studiować teologię? Ja też przechodziłem kryzysy dokładnie takie jak Relu. Co by teraz było ze mną, gdybym studiował teologię? I tak musiałbym ją porzucić, żeby stać się tym nieudacznikiem, którym jestem; w przeciwnym razie przez całe życie tkwiłbym w fałszu.

Ja miewam się dość dobrze. Szkoda tylko, że początek semestru przyniósł kilka nowych opłat, więc finansowo stoję raczej marnie.

Całuję was mocno, Miluť